

Andrzej Paczkowski

ROK 1989, CZYLI DRUGI CUD NAD WISŁĄ

Annus mirabilis – tak Sir Ralf Dahrendorf, słynny socjolog brytyjski, nazwał rok 1989, odnosząc się do wydarzeń, które rozegrały się na znacznej polaci Europy, od Warszawy po Sofię. To łacińskie określenie można przetłumaczyć jako „rok zadziwiający” lub też „rok cudów”. Na pierwszy rzut oka tak to rzeczywiście wyglądało: istniejący od siedemdziesięciu lat Związek Sowiecki, który od lat ponad czterdziestu był supermocarstwem, miał bazy wojskowe i zwasalizowane rządy od Nikaragui przez Angolę po Wietnam, nagle, w ciągu paru miesięcy (od sierpnia do grudnia), utracił kontrolę nad swoim środkowoeuropejskim dominium, które w 1945 r. było zaczątkiem jego imperium. Z polskiej perspektywy rzeczy miały się jednak inaczej. Tak jak pierwszy Cud nad Wisłą, z 1920 r., tak i ów „cud” z 1989 r. nie był wynikiem przypadku i jednorazowego zrywu, ale zwieńczeniem walki, która zaczęła się wcześniej. Na pewno nie później niż w sierpniu 1980 r., gdy powstała „Solidarność”. Wprawdzie nie stawiała sobie ona za bezpośredni cel obalenie systemu i zdobycie niepodległości, jednak

zarówno logika konfrontacji z rządzącymi krajem komunistami, tak oczywista po wprowadzeniu stanu wojennego, jak i zmiany, które zaczęły zachodzić w Związku Sowieckim w latach 1985–1986 wraz z objęciem władzy przez Gorbaczowa, powodowały, iż horyzont pożądanых przekształceń zarazem się poszerzał, jak i przybliżał.

Główny nurt „Solidarności”, utożsamiany z Lechem Wałęsą, nawet w najtrudniejszym dla opozycji okresie stanu wojennego opowiadał się za osiągnięciem porozumienia z władzą, co okazało się strategią skuteczną, ale stało się przyczyną podziałów wewnątrz samego związku i całej opozycji. Jakkolwiek o możliwości stworzenia w kraju nowej sytuacji decydowała ekipa gen. Jaruzelskiego – bo to rządzący muszą wykonać pierwszy krok – jednak bez istnienia podziemnej „Solidarności” nie byłoby potrzeby podejmowania jakichkolwiek negocjacji. Wyłom w systemie nastąpiłby albo w innym kraju i w inny sposób, albo – co bardziej prawdopodobne – zmiany potoczyłyby się wedle „modelu chińskiego”, tzn. przez reformę gospodarki w warunkach zachowania monopolu władzy partii komunistycznej. Tak czy inaczej, w Polsce – a być może tylko w Polsce – istniały warunki do podjęcia próby zawarcia nowej umowy społecznej: były tu bowiem zarówno obawiająca się gwałtownych wybuchów władza, jak i zorganizowana, masowa opozycja. Kiedy zaś okazało się, że taktyka kooptowania przez obóz władzy pojedynczych działaczy czy grupiek opozycyjnych nie przynosi pozytywnych rezultatów, „wobec narastającej groźby strajku, wobec możliwości wyprzedzenia nas przez Wałęsę [oraz] wobec konieczności wygrania na czasie” – jak na jednym z posiedzeń ścisłego kierownictwa PZPR tłumaczył Jaruzelski – niezbędne było przejście do taktyki negocjacji. Nie bez trudu udało mu się przekonać do podjęcia takiego kroku aparat partyjny: w styczniu 1989 r. aż 25 proc. członków KC PZPR wypowiedziało się przeciwko legalizacji „Solidarności”.

Począwszy od połowy sierpnia 1988 r. toczyły się rozmowy wstępne, podczas których omawiano zakres i formę przyszłych oficjalnych negocjacji oraz skład ich uczestników. Brali w nich udział nie tylko reprezentanci „Solidarności” z jednej i przedstawiciele obozu rządzącego (PZPR, OPZZ i stronnictw „satelickich”) z drugiej strony, ale także obserwatorzy z episkopatu, który utrzymywał osobno bieżące kontakty z kierownictwem PZPR, zarówno na forum Komisji Wspólnej rządu i Kościoła, jak i nieformalne. Uderzające było, że o ile we wszystkich spotkaniach w szerszym gronie osobiście brał udział Wałęsa, o tyle faktyczny władca Polski, gen. Jaruzelski, ani razu w nich nie uczestniczył, podobnie jak premier Rakowski. Rej wodził gen. Czesław Kiszczak, minister spraw wewnętrznych, co mogło być traktowane jako sygnał o rezerwie Jaruzelskiego wobec całej tej operacji i dawało mu możliwość odcięcia się od negocjacji, gdyby przybrały kierunek niedogodny dla PZPR. Ekipa rządowa do rozmów była kompletowana faktycznie dopiero w końcu stycznia, a na czele zespołu powołanego przez Biuro Polityczne do koordynowania nią stanął Józef Czyrek, członek BP i sekretarz KC. „Solidarność” przygotowywała się do negocjacji znacznie staranniej, a jej głównym ośrodkiem stał się powołany w połowie grudnia 1988 r. ponadstuosobowy Komitet Obywatelski przy Lechu Wałęsie. Głównymi postaciami w tym gronie byli Bronisław Geremek i Tadeusz Mazowiecki, a więc osoby związane z opozycją demokratyczną jeszcze przed sierpniem 1980 r. Ostatnie poufne spotkanie przygotowawcze odbyło się 27 stycznia 1989 r. w willi MSW w podwarszawskiej Magdalence.

Ważnym, choć mało widocznym dla polskiej opinii czynnikiem, który miał wpływ na to, że negocjacje mogły się w ogóle odbyć, było stanowisko obu supermocarstw. Stany Zjednoczone nie tylko popychały Jaruzelskiego do ustępstw

wobec „Solidarności”, ale także zapewniały Gorbaczowa – m.in. wysyłając do Moskwy w styczniu 1989 r. ze specjalną misją Henry’ego Kissingera – iż nie myślą o wykorzystaniu sytuacji do zmiany na swoją korzyść układu sił w Europie. W Związku Sowieckim natomiast, który właśnie kończył wycofywanie wojsk z Afganistanu, w zapleczu eksperckim kierownictwa państwa umacniało się przekonanie – podzielane przez większość ekipy Gorbaczowa – iż kraje Europy Środkowo-Wschodniej zmierzają do głębokich reform. Uznawano przy tym, że jest to „zło konieczne”, ale dla utrzymania wpływów nie będzie już można odwołać się do siły militarnej i liczono na to, że Jaruzelski będzie w stanie kontrolować bieg wydarzeń. Tak więc oba supermocarstwa traktowały negocjacje za najlepsze z możliwych wyjść z drażącego Polskę kryzysu, który groził gwałtownym wybuchem, mogącym mieć negatywny wpływ na *perestrojkę* i przyczynić się do klęski Gorbaczowa. W podobny sposób oceniano wydarzenia na Węgrzech. Wprawdzie tamtejsza opozycja była bez porównania mniej liczna niż polska, ale partyjni (komunistyczni) zwolennicy reform w zasadzie opanowali już centrum władzy. Jednak nie tylko polscy uczestnicy negocjacji, ale także przywódcy światowych potęg i ich najlepsi nawet doradcy nie mieli świadomości, jak daleko zajdą zmiany i jaki będą miały zasięg.

Podjmując negocjacje, „Solidarność” dążyła do tego, aby dzięki legalizacji związku (i innych ruchów społecznych) oraz uzyskaniu reprezentacji w Sejmie zdobyć możliwość wpływania na władze i kontrolowania administracji państwowej oraz polityki gospodarczej władz. Pakiet żądań był rozległy i wykraczał daleko poza porozumienia z 1980 r., ale nie podnoszono sprawy zmiany ustroju. Zapewne ważniejsze niż postulaty w sferze gospodarczej i społecznej – w tym m.in. waloryzacji płac, poszerzenia uprawnień samorządów pracowniczych, likwi-

dacji systemu nomenklatury, zaniechania centralnego sterowania gospodarką i ustalania cen – były żądania o charakterze politycznym, dotyczące wolności obywatelskich. Postulowano więc m.in. swobodę zrzeszania się, liberalizację cenzury, uznanie prawa niezależnych organizacji społecznych do posiadania własnych gazet, dostęp do państwowego radia i telewizji, odpolitycznienie i uniezależnienie od partii i administracji wymiaru sprawiedliwości. Podczas styczniowego spotkania w Magdalence Bronisław Geremek stwierdził, iż dla ludzi „Solidarności” „zasadniczą wartością są wolne wybory”, ale dodał, że „rozumiemy konieczność ograniczeń”. „Nie jesteście w stanie blokować wolności” – oświadczył na tym samym spotkaniu Wałęsa – i uzupełnił: „bez wolności nie ma rozwoju”. Zakładano więc, że to, co zostanie ustalone przy Okrągłym Stole, nie będzie stanem docelowym, ale punktem wyjścia do dalszych zmian.

Cele, jakie stawiała sobie strona rządowa, były bardziej ograniczone, a nawet można je określić jako defensywne. Przede wszystkim chodziło o złożenie na „Solidarność” części odpowiedzialności za realizację reform gospodarczych, które – z czego zdawano sobie sprawę – będą dotkliwe dla większości społeczeństwa. Zawarcie porozumienia i dopuszczenie grona działaczy „Solidarności” do Sejmu miały obniżyć napięcia społeczne i odnowić legitymizację systemu, który wymagał poważnego liftingu, gdyż w istniejącym stanie „utracił swoje możliwości twórcze”, jak to określił jeszcze w 1987 r. Rakowski. Nowa legitymizacja była potrzebna także z uwagi na konieczność poprawy stosunków z Zachodem, który wytrwale, krok po kroku wymuszał na ekipie Jaruzelskiego realizację żądań wysuniętych tuż po 13 grudnia. Po odwołaniu stanu wojennego (co stało się już w lipcu 1983 r.) i wypuszczeniu aresztowanych (co miało miejsce we wrześniu 1986 r.) przyszedł czas na spełnienie ostatniego żądania: wznowienie rozmów z „Solidarnością”.

Jaruzelski zdecydował, aby przynajmniej część tych środowisk partyjnych, które miały sceptyczny, a nawet negatywny stosunek do negocjacji z „siłami kontrrewolucyjnymi”, została wciągnięta do rozmów Okrągłego Stołu. Głównie chodziło o OPZZ i Alfreda Miodowicza, który nie ukrywał swoich politycznych ambicji, gdyż generał raczej nie obawiał się „buntu” w wojsku czy MSW, a nawet w aparacie partyjnym. Obecność OPZZ utrudniała wprawdzie sterowanie zespołem rządowych negocjatorów, ale było to z pewnością lepsze niż pozostawienie go własnemu losowi. Z pewnym ryzykiem wiązało się też włączenie do rozmów partii satelickich, ZSL i SD, które od pewnego czasu wykazywały tendencje do zdobycia większej niezależności od PZPR.

Inaczej postąpił Wałęsa, który zaakceptował to, że poza procesem negocjacyjnym znalazły się ośrodki radykalne, które zresztą opowiadały się przeciwko „paktowaniu z czerwonymi”. Środowiska te już jesienią 1988 r. podjęły próbę konsolidacji, a w czasie trwania obrad Okrągłego Stołu kilka z nich – w tym najsilniejsze: KPN oraz „Solidarność Walcząca” – podpisały akt założycielski Kongresu Opozycji Antystrojowej (KOA). W oświadczeniu z 4 marca 1989 r. domagano się „pełnej demokracji politycznej i gospodarczej” oraz „wolnych wyborów”. Podobne stanowisko zajęła Grupa Robocza Komisji Krajowej, którą jeszcze w 1987 r. stworzyli niechętni Wałęsie członkowie najwyższych władz „Solidarności” wybrani na zjeździe w 1981 r. (m.in. Andrzej Gwiazda, Jerzy Kropiwnicki i Andrzej Słowik). Mimo iż nie odżegnywali się oni całkowicie od rozmów z władzami, nie zostali włączeni w przygotowania do Okrągłego Stołu i siłą rzeczy solidaryzowali się z radykalną opozycją. Na forum publicznym, a ściślej rzecz biorąc na ulicach, najbardziej aktywne były środowiska młodzieżowe, takie jak Wolność i Pokój, NZS, Federacja Młodzieży Walczącej czy

Międzyimiastówka Anarchistyczna. W drugiej połowie lutego, w trakcie obrad Okrągłego Stołu, w kilku miastach odbywały się demonstracje i wiece, które zwykle kończyły się starciami ulicznymi. Następna fala wystąpień zaczęła się wkrótce po zakończeniu obrad i trwała przez kilka tygodni. Nie było także spokoju na terenie zakładów pracy. MSW sygnalizowało narastanie fali strajkowej: w styczniu zarejestrowano 49 strajków, w lutym 67, a w marcu już 260. Wystąpienia te nie były jednak inicjowane przez „Solidarność” – albo rozpoczynały się spontanicznie, albo były wywoływane przez OPZZ i miały charakter ekonomiczny. Ponieważ w ich trakcie nie odnoszono się do toczących się negocjacji, nie wpływały bezpośrednio na nie, choć niewątpliwie – tak jak wystąpienia młodzieży – podgrzewały atmosferę.

Okrągły stół został ponownie zmontowany, a obrady, będące wielką machiną polityczną i widowiskiem medialnym, toczyły się w Pałacu Namiestnikowskim przez dwa miesiące – od 6 lutego do 5 kwietnia. Spośród około 450 osób, które w nich uczestniczyły, tylko niespełna 60 zasiadało przy właściwym Okrągłym Stole, a obrady plenarne odbyły się zaledwie dwa razy: na rozpoczęcie i zakończenie. Negocjacje miały więc formę serii narad w trzech zespołach roboczych – reform politycznych, gospodarki i polityki społecznej oraz pluralizmu związkowego – które z kolei dzieliły się na liczne podzespoły, m.in. do spraw rolnictwa, reformy wymiaru sprawiedliwości, młodzieży, zdrowia czy górnictwa. W przypadku impasu w negocjacjach zwoływano dyskrecyjne spotkanie czołowych przedstawicieli stron. Część tych spotkań odbywała się w znanej już ich uczestnikom Magdalence, inne w gmachu Urzędu Rady Ministrów, na ogół w obecności przedstawicieli episkopatu, gdyż Kościół wciąż występował w roli mediatora. W sumie odbyło się osiem takich spotkań, ale oczywiście miały

miejsce liczne, nieformalne rozmowy w kilkuosobowych gronach, zaś negocjatorzy z PZPR wielokrotnie przez telefon konsultowali się z gen. Jaruzelskim. Rzecz jasna odbywały się w tym czasie normalne posiedzenia Biura Politycznego i Sekretariatu KC poświęcone przebiegowi negocjacji, obradowała też Krajowa Komisja Wykonawcza „Solidarności” oraz zespół kierowniczy Komitetu Obywatelskiego, o czym SB systematycznie informowała kierownictwo PZPR. W trakcie rozmów uwidoczniła się rosnąca rola Adama Michnika i Jacka Kuronia, którzy zostali wpisani na listę uczestników po ostrych przetargach z Kiszczakiem, który – podobnie jak całe kierownictwo PZPR – był przeciwko ich udziałowi. Po stronie rządowej jedną z najważniejszych osób (przynajmniej w formalnych obradach) stał się Aleksander Kwaśniewski, uważany za wschodzącą gwiazdę PZPR. Obrady plenarne były transmitowane bezpośrednio przez telewizję i radio, codziennie zaś występowali w mediach rzecznicy prasowi obu stron, współprzewodniczący zespołów i podzespołów roboczych, a nawet szeregowi negocjatorzy. Przedstawiciele „Solidarności” mieli wpięte w ubrania znaczki związku i demonstracyjnie nosili tekturowe teczki z wypisaną „solidarycą” jego nazwą.

Z uwagi na rozpędzającą się inflację (w pierwszym kwartale 1989 r. wynosiła już kilkadziesiąt procent), żmudne rozmowy na tematy gospodarcze i społeczne zostały zdominowane przez aktualny problem indeksacji płac. Konflikt na tym tle został zaostrozony przez OPZZ, które uderzyło w tony populistyczne, żądając stu procentowej indeksacji. Jednak to nie debaty przy „stolikach” gospodarczych i społecznych animowały negocjatorów i opinię publiczną. Jeszcze przed rozpoczęciem rozmów oczywiste było, iż kluczowe znaczenie będą miały ustalenia w sprawach politycznych. Poprzeczkę niespodziewanie podniósł Miodowicz, który w czasie posiedzenia inaugura-

cyjnego złożył wniosek o zniesienie cenzury i przeprowadzenie wolnych wyborów. W ustach członka Biura Politycznego była to czysta demagogia, ale uzmysłowiło to wszystkim, iż nie będzie już chodziło o jakieś drobne zmiany i drugorzędne ustępstwa.

Po długich i emocjonujących rozmowach, często-gęsto prze-rywanych nieoficjalnymi spotkaniami, został osiągnięty kompromis. Ogólnie rzecz biorąc polegał on na tym, iż w zamian za utworzenie nowej izby parlamentu (Senatu) i wolne wybory do niej, opozycja zgodziła się, że do Sejmu wolne wybory będą dotyczyły tylko 35 proc. miejsc i zaakceptowała utworzenie urzędu prezydenta wyposażonego w rozległe kompetencje. Urząd ten został „skrojony” na gen. Jaruzelskiego, a celem było utworzenie silnego ośrodka władzy poza strukturami PZPR, która w opinii przeważającej części społeczeństwa była już całkowicie skompromitowana. Wedle zmienionej *ad hoc* konstytucji prezydent, którego kadencja miała trwać 6 lat (czyli do roku 1995), był odpowiedzialny za wewnętrzne i zewnętrzne bezpieczeństwo państwa, miał możliwość ogłoszenia stanu wojennego i wyjątkowego oraz został wyposażony w prawo rozwiązania parlamentu w przypadku, gdy Sejm „uniemożliwi wykonywanie jego konstytucyjnych uprawnień”.

Problemy poruszane w czasie negocjacji i przyjęte w ich wyniku ustalenia nie miały większego wpływu na rozpoczęty już w połowie lat osiemdziesiątych proces nazywany „uwłaszczaniem nomenklatury” i gwałtowne poszerzanie się – w reakcji na reformy rządu Rakowskiego – zasięgu wolnego rynku. Nawet KC PZPR, a w ślad za nim komitety wojewódzkie partii, organizowały spółki (najbardziej znaną z nich była „Transakcja” sp. z o.o. należąca do KC), które powstawały na podstawie majątku przedsiębiorstw państwowych. Dyrektorzy i kadra zarządzająca tworzyli spółki (lub *quasi*-spółdzielnie), które wykorzystywały maszyny, urządzenia i robotników formalnie wciąż

państwowych przedsiębiorstw. Podobnie działo się w instytucjach handlowych, a głównie w handlu zagranicznym, w czym znaczącą rolę odgrywali funkcjonariusze wywiadu i kontrwywiadu, od dawna obecni w tych firmach w ramach wykonywanych przez siebie zadań. Rezerwuarem dla szybkich zysków stała się komercjalizacja i decentralizacja banków państwowych, opanowanych przez ludzi z partyjnej nomenklatury i służb specjalnych. Jak grzyby po deszczu pojawiały się kantory, często zakładane przez wczorajszych „cinkciarzy”, powstały setki na chybcika ogrodzonych miejsc gdzie sprzedawano sprowadzane z Zachodu samochody („komisy”), burzliwie rozwijał się „handel łóżkowy”, tysiące Polaków handlowało na ulicach i skwerach Berlina, Wiednia czy Budapesztu. Rozregulowana, a więc korupcyjogenna gospodarka stwarzała prawdziwe eldorado dla osób przedsiębiorczych, ale także dla hochsztaplerów i wydrwigraczy. Rozwarstwienie społeczne stawało się coraz bardziej dostrzegalne, a w związku z tym budziło niezadowolenie. Choć trudno jest jednoznacznie określić wpływ tego na postawy społeczne, wydaje się, iż musiało oddziaływać na tych, którzy stali wciąż w kolejkach, a ich pensje zżerała nieubłagana inflacja.

Być może także i z tego powodu reakcje opinii publicznej na osiągnięte porozumienia były – wbrew spodziewaniu – ostrożne, a nawet wstrzemięźliwe. Wprawdzie zdecydowana większość badanych osób uważała, iż kompromis ma znaczenie przełomowe (80 proc.) i że będzie punktem wyjścia do dalszych zmian (71 proc.), ale aż 64 proc. nie sądziło, że rozwiązuje on „najważniejsze sprawy Polski”, zaś 65 proc. wyrażało przekonanie, iż przeciętni obywatele nie będą mieli realnego wpływu na losy kraju. Można to odczytywać jako docenianie wagi rozmów Okrągłego Stołu przy jednoczesnej niejasności co do kierunku, w którym prowadzą osiągnięte porozumienia.

Uderzający był zasięg postaw absencyjnych: od 1/5 do 1/3 ankietowanych – zależnie od charakteru pytania – stwierdzało, iż „nie ma zdania”, a tylko 17 proc. twierdziło, że obrady były w ich otoczeniu tematem codziennych rozmów. Nie było więc euforii, choć atmosferę podgrzewała druga fala wystąpień środowisk młodzieżowych. O dalszym biegu wydarzeń miały zadecydować wyniki wyborów parlamentarnych, które wyznaczono na 4 czerwca, a dwa tygodnie później miała się odbyć druga tura dla kandydatów, którzy nie uzyskali co najmniej 50 proc. głosów.

Porozumienie Okrągłego Stołu zostało przyjęte w Związku Sowieckim ze spokojem, acz bez entuzjazmu. Zresztą już w lutym „Nowoje Wremia” – organ propagandowy na zagranicę – zamieściły wywiad z Wałęsą, co było znaczącym ewenementem. Po zakończeniu negocjacji w majowym numerze miesięcznika „Kommunist” – organu teoretycznego KPZR – pisano wręcz, że „polski wariant” może służyć jako dobry przykład. Nie są do tej pory znane szczegółowe analizy sowieckie z okresu między Okrągłym Stołem a wyborami, ale nie wydaje się, że w ekipie Gorbaczowa pojawiały się tendencje do wywierania nacisku na Warszawę, aby usztywniła swoje stanowisko wobec „Solidarności”. Toteż gdy w końcu kwietnia roboczą wizytę w Moskwie złożył Jaruzelski, uzyskał bez kłopotów akceptację Gorbaczowa dla przyjętej linii postępowania. Kierownictwo sowieckie chyba wierzyło w jego zapewnienia, że kontroluje sytuację, że nie ma w Polsce zagrożenia dla systemu i dla interesów Związku Sowieckiego. Ze swojej strony ambasada sowiecka w Warszawie starała się dyskretnie nawiązać kontakty z ludźmi z opozycji.

Ambasador Stanów Zjednoczonych w Warszawie, John Davis, już kilka dni po ogłoszeniu daty wyborów, depeszował do Waszyngtonu zapowiadając, iż „Solidarność” odniesie „miażdżące zwycięstwo”. Miał na myśli, oczywiście, miejsca

objęte wolnym wyborem, czyli 161 w Sejmie i 100 w Senacie. Razem dawało to jednak 261 miejsc na 560 członków Zgromadzenia Narodowego, które miało wybrać prezydenta, czyli około 46 proc., a więc w przypadku usamodzielnienia się części posłów ZSL i SD wybór Jaruzelskiego byłby niemożliwy. Davis marzył o zwycięstwie „Solidarności”, gdyż oznaczałoby ono zrobienie zasadniczego kroku na drodze ku demokracji i uwolnieniu Polski spod dominacji Moskwy, obawiał się jednak, że triumf opozycji może doprowadzić do destabilizacji sytuacji w Polsce – a w konsekwencji w całym bloku sowieckim – czego Waszyngton pragnął za wszelką cenę uniknąć.

Kierownictwo PZPR zapatrywało się na wybory bardziej dla siebie optymistycznie. Nie brakowało wprawdzie obaw – np. gen. Kiszczak w pewnym momencie gorzko stwierdził, że „idziemy na rzeź jak barany” – ale zgadzano się na ogół, iż nie ma innego wyjścia. Większość, w tym Jaruzelski, uważała, iż w wyborach uda się uzyskać dobry rezultat, tzn. że większość kandydatów z list partii obozu rządowego (w tym z listy krajowej) uzyska wystarczającą liczbę głosów, aby przejść już w pierwszej turze, a kandydaci należący do PZPR lub popierani przez nią zdobędą część mandatów z puli przeznaczonych do wolnych wyborów, ograniczając w ten sposób rolę opozycji w parlamencie. Liczono na lojalność członków partii (a należało do niej wciąż ponad 2 mln osób), a przede wszystkim na miliony tych, którzy pragnęli spokoju i stabilizacji. Zakładano też, że Kościół zajmie stanowisko neutralne, co wspomże PZPR.

Jednak przebieg kampanii wyborczej wykazał, iż ekipa Jaruzelskiego nie panuje już w pełni nad sytuacją nawet w samej partii. W wielu okręgach na listach PZPR zarejestrowano znacznie więcej kandydatów niż miejsc, co spowodowało, iż konkurowali oni między sobą. Niektórzy kandydaci z puli przeznaczonych dla satelickich stronnictw wręcz ubiegali się

o poparcie „Solidarności”. Machina najwyraźniej ulegała rozprężeniu, co zresztą nie było niczym nowym, gdyż od 1980 r. PZPR znajdowała się w stanie kryzysu, a wprowadzenie stanu wojennego było najlepszym dowodem, że partia sama nie jest w stanie uporać się z „Solidarnością”. Czołowi działacze PZPR, ZSL i SD znaleźli się na liście krajowej, co powodowało, że w terenie kandydatami były często osoby mało znane. Kampania wyborcza obozu rządzącego była więc chaotyczna i nieprzekonująca, choć oczywiście korzystano w pełni z siły państwowych mediów elektronicznych (prezesem Komitetu ds. Radia i TV został mianowany Jerzy Urban, znany z cynizmu i uchodzący za świetnego propagandzistę), a także z dominacji na rynku prasowym i z poważnych zasobów zarówno w kasach partyjnych, jak i w budżecie państwa. Nie zapomniano o wysyłaniu sygnałów, że partia ma swoich rękach resorty siłowe, czego przykładem był komunikat z posiedzenia Komitetu Obrony Kraju, który zebrał się 21 maja. Rząd Rakowskiego gorączkowo starał się poprawić zaopatrzenie, szczególnie w newralgicznych regionach, takich jak stolica, Górny Śląsk czy Wybrzeże.

Wśród działaczy opozycji przeważały nastroje ostrożnego optymizmu. Liczono się ze zdobyciem większości miejsc z wolnych wyborów, chyba jednak mało kto był przekonany, że może to być cała pula. Radykalna opozycja wzywała do bojkotu, ale nie utrzymała jedności: KPN zdecydowała się na wystawienie własnych kandydatów, a aktywiści z niektórych środowisk (np. WiP i NZS) włączyli się z impetem w kampanię wyborczą Komitetu Obywatelskiego. Mimo iż „Solidarność” nie miała lokali, telefonów, samochodów i należycie zaopatrzonych kont bankowych, powstające żywiołowo w całym kraju lokalne komitety obywatelskie okazały się bardzo skuteczne w prowadzeniu kampanii propagandowej, w którą włączyły się dziesiątki tysięcy ludzi. Bardzo ważnym elementem stało się

postanowienie, że na każde miejsce, o które można się ubiegać, będzie tylko jeden kandydat „Solidarności”. W dodatku wszyscy oni dostali do dyspozycji plakaty, na których figurowali u boku Wałęsy ściskając jego dłoń. Wprawdzie zarejestrowali się osobno kandydaci związani z „Solidarnością” (m.in. w Warszawie mec. Władysław Siła-Nowicki), ale były to przypadki odosobnione. Wśród kandydatów znalazły się znane osobistości ze świata kultury (m.in. Andrzej Wajda) oraz owiani już legendą ludzie opozycji – tacy jak Kuroń, Michnik czy Zbigniew Romaszewski. Nie stanęli jednak do wyborów ani Wałęsa (zresztą Jaruzelski też nie), ani tacy „bohaterowie konspiracyj” jak Zbigniew Bujak czy Władysław Frasyniuk, którzy uważali, iż nie należy łączyć funkcji związkowych z politycznymi. Zrezygnował z kandydowania Mazowiecki, który nie zgadzał się z układaniem centralnie list wyborczych dla wszystkich okręgów.

Zgodnie z ustaleniami Okrągłego Stołu „Solidarność” używała zgodę na wydawanie ogólnopolskiego dziennika – pierwszy numer ukazał się 8 maja pt. „Gazeta Wyborcza” – oraz na własne „okienka” w telewizji i radiu. Wsparcie płynęło z zagranicy: urzędnicy poligraficzne, pieniądze, plakietki i plakaty. W kampanię włączyły się powszechnie znane osoby, m.in. Jane Fonda, Yves Montand czy Barbra Streisand. Bardzo ważnym czynnikiem stała się postawa Kościoła. Wprawdzie episkopat formalnie nie wzywał do głosowania na kandydatów Komitetu Obywatelskiego, ale wielu księży jednoznacznie na nich właśnie wskazywało, wielokrotnie na terenie kościelnym zbierano podpisy popierające kandydatów, a nawet organizowano mitingi i zebrania. Bardzo często wiece wyborcze rozpoczynały się połową Mszą świętą, księża – nawet biskupi – święcili sztandary związku. Kierownictwo PZPR protestowało, ale niewiele to pomogło. Pomysł ekipy Jaruzelskiego, aby wybory miały charakter „niekonfrontacyjny”, legł w gruzach. Wprawdzie np. Wałęsa apelował o nieskreślanie na

kartach do głosowania kandydatów z listy krajowej, ale większość działaczy „Solidarności” nie miała takich zahamowań. Zresztą obóz władzy też nie odżegnywał się od „ostrego” PR i w wytycznych KC PZPR wysyłanych w teren zalecano stosowanie czarnej propagandy antysolidarnościowej.

Pierwsza tura wyborów zakończyła się rzeczywiście miazdzącym zwycięstwem kandydatów „Solidarności”, którzy zdobyli 160 na 161 miejsc w Sejmie i 92 na 100 w Senacie, a druga tura (18 czerwca) uczyniła je jeszcze bardziej spektakularnym, gdyż kandydaci Komitetu Obywatelskiego zdobyli jedyne „wolne miejsce” w izbie niższej i 7 na 8 w wyższej. W dodatku w wyborach do Senatu kandydaci koalicji rządzącej uzyskali zaledwie 25 proc. głosów wobec 68 proc. „Solidarności”. Był to prawdziwy nokaut. Jakby tego nie było dosyć, wyborcy „zmasakrowali” listę krajową, na której nie było kandydatów KO: tylko dwie osoby z 35 uzyskały powyżej 50 proc. głosów (wśród tych, którzy przypadli, był m.in. premier Rakowski). W poniedziałek, 5 czerwca, nie czekając na ogłoszenie oficjalnych wyników pierwszej tury, rzecznik prasowy KC PZPR oświadczył, iż partia uznaje swoją porażkę. Sytuacja nie była jednak w pełni jasna, gdyż wobec tego, że dla listy krajowej ordynacja wyborcza nie przewidywała drugiej tury groziło, że Sejm nie będzie miał przewidzianej liczby (460) posłów. Mógłby to być powód (czy też pretekst) do unieważnienia wyników, ale ekipa Jaruzelskiego nie zdecydowała się na tak drastyczne pociągnięcie, które wymagałoby zapewne ponownego wyprowadzenia wojska na ulice. Uzgodniono więc z „Solidarnością”, że brakujące 33 miejsca zostaną przeniesione na listy koalicji rządzącej. Zażegnano w ten sposób rysujący się kryzys, ale nie wzmocniło to bynajmniej autorytetu Wałęsy i kierownictwa Komitetu Obywatelskiego, gdyż radykalne skrzydło opozycji uznało, iż manipulowano prawem i opinią publiczną. Przebieg

wyborów dostarczył jeszcze innego powodu do niepokoju: mimo iż wybory miały w rzeczywistości charakter plebiscytu (za czy przeciw „komunie”), do urn zgłosiło się tylko 62 proc. uprawnionych. Ponieważ tak wysoka absencja raczej nie była odpowiedzią na apele radykalnej opozycji o bojkot wyborów, oznaczała ona, że niespodziewanie duża część (około 1/3) społeczeństwa odżegnuje się od tej najprostszej formy udziału w życiu publicznym. Te wszystkie wątpliwości zostały jednak odsunięte na bok, gdyż zbliżało się nieuchronnie kolejne wydarzenie polityczne – wybór prezydenta.

W Moskwie wyniki wyborów zostały przyjęte „z największą uwagą i zaniepokojeniem”, jak raportował szef misji polskiej SB, ale w istniejącej sytuacji sowieckie kierownictwo miało ograniczone pole manewru. Ambasador Davis doradzał gronu posłów Komitetu Obywatelskiego, jak zapewnić wybór Jaruzelskiego, co uważał za konieczny warunek zapewnienia stabilizacji politycznej przez zapobieżenie radykalnych reakcji w obozie władzy, a przede wszystkim w resortach siłowych. Wałęsa wykluczył ubieganie się o urząd prezydenta, co oznaczało, iż zgadza się, że kandydata ma wskazać PZPR. W otoczeniu Jaruzelskiego zastanawiano się, czy nie udałoby się przyciągnąć części umiarkowanych działaczy opozycji przez zaoferowanie Komitetowi Obywatelskiemu kilku tek w rządzie (a nawet stanowiska wicepremiera) czy też przez powołanie „koalicyjnego rządu fachowców”, na którego czele miałyby stanąć członek Biura Politycznego, ekonomista Władysław Baka. W końcu czerwca Jaruzelski niespodziewanie zaczął się krygować i oświadczył, że nie będzie kandydował. W tym kontekście pojawiło się nazwisko Kiszczaka, którego z oczywistych powodów „Solidarność” nie mogłaby zaakceptować. Słowem, trwało zrozumiałe w tej sytuacji zamieszanie.

Pogłębił je, ale też ukierunkował, Adam Michnik, który 3 lipca – po dłuższych debatach w gronie przywódców KO i otoczeniu Wałęsy – opublikował w „Gazecie Wyborczej” artykuł pt.

Wasz prezydent, nasz premier. Michnik uznał, iż uzupełnieniem objęcia przez Jaruzelskiego stanowiska prezydenta powinno być powołanie rządu z premierem z „Solidarności”. Zapewniał przy tym, iż zmiany zachodzące w Polsce nie godzą w rosyjski interes narodowy. Tego samego dnia Wadim Zagładin, jeden z najbliższych doradców Gorbaczowa, odpowiedział stwierdzając, iż „będziemy utrzymywali stosunki z każdym wybranym w Polsce rządem”. Artykuł Michnika (i odpowiedź Zagładina) wywołały pewną konsternację nie tylko – co zrozumiałe – w kierownictwie PZPR, ale także wśród części działaczy opozycji. Zastrzeżenia – w artykule pt. *Spiesz się powoli* – zgłosił Mazowiecki, który uważał, że „Solidarność” i opozycja nie są przygotowane do sprawowania władzy, a przed wszystkim, że oznaczać to będzie uwikłanie „Solidarności” w sytuację, którą *de facto* kontroluje Jaruzelski i PZPR. Jednak i tak dalsze kroki zależały od spełnienia pierwszej części propozycji Michnika.

Wyborowi Jaruzelskiego nie mogły zapobiec spektakularne działania radykalnej opozycji, która w całości odrzucała kontrakt Okrągłego Stołu. Mitingi i manifestacje, które organizowała, nie miały większych szans, aby pobudzić masowy ruch sprzeciwu, w dodatku fala strajków z lutego–marca opadła, gdyż naturalne wydawało się odczekanie na rezultaty podpisanych umów i rządowych zobowiązań. Niemniej grupy młodzieżowe działały bardzo aktywnie, a nawet żarliwie. Przywódca jednej z nich zapowiadał, że gdy nadejdzie potrzeba, nie będzie się szczędziło „nawet swojego życia”. W kraju nie było jednak atmosfery insurekcyjnej i podobne apele natrafiały raczej na mur obojętności niż odruchy poparcia. Mniej głośnie były wypowiedzi innych oponentów Wałęsy i skłonnej do kompromisów części „Solidarności”. Mechanizm zmian uruchomiony zawartym porozumieniem był już chyba niemożliwy do zablokowania przez jego przeciwników z jednej czy z drugiej strony.

Jaruzelski uzyskał wsparcie nie tylko przywódców państw Układu Warszawskiego, ale także prezydenta George'a Busha, który w dniach 9–11 lipca złożył oficjalną wizytę w Polsce. Prezydent w bezpośredniej rozmowie wręcz przekonywał polskiego generała, iż tylko on daje nadzieję na „sprawne przeprowadzenie zmian okresu przejściowego”. 19 lipca Zgromadzenie Narodowe dokonało oczekiwanego wyboru, ale w warunkach właściwie dla Jaruzelskiego upokarzających – był jedynym kandydatem i uzyskał tylko jeden głos ponad konieczne minimum, a stało się tak dzięki temu, że kilkunastu posłów oddało głosy nieważne (obniżając w ten sposób wymagane kworum) lub nie uczestniczyło w głosowaniu. Sam Michnik, wbrew swemu stanowisku z 3 lipca, głosował „przeciw”. Przebieg głosowania wywołał protesty nawet w Obywatelskim Klubie Parlamentarnym, ale w rzeczywistości nikt nie miał możliwości skutecznie podważyć wybór.

Jednak wbrew spodziewaniu części opinii, że nowo wybrany prezydent podejmie próbę wciągnięcia opozycji do rządu, Jaruzelski desygnował na stanowisko premiera Kiszczaka. Objęcie dwóch najważniejszych stanowisk w państwie przez generałów, twórców i zarządców stanu wojennego, a więc odpowiedzialnych za represje i śmierć wielu osób, można było traktować jako manewr mający na celu umocnienie władzy komunistów. Choć centrum władzy przesunęło się z PZPR – na której czele formalnie stanął dotychczasowy premier Rakowski – do instytucji państwowych, nie było mowy o jakiegokolwiek konwersji ideowej partyjnych przywódców. Wszystko to wyglądało nie jak „nowe otwarcie”, ale jako zwykła roszkada personalna w obrębie tych samych figur, tym bardziej że na stanowisku pierwszego sekretarza KC PZPR Jaruzelskiego zastąpił stary wyga Rakowski, a partyjne „młode wilki” musiały wciąż czekać na kluczowe pozycje we władzy. Te zmiany personalne

nie świadczyły jednak o sile „ekipy generalskiej”, ale raczej o jej bezradności. Tymczasem w obozie opozycji pojawiły się koncepcje kontynuowania pomysłu Michnika nie tylko w formie „wielkiej koalicji” (od PZPR do „Solidarności”), jaką on sobie wyobrażał, ale tzw. małej koalicji z udziałem dotychczasowych satelitów PZPR, ale bez samej partii-suzerena. 7 sierpnia, niespełna dziesięć dni po desygnowaniu Kiszczaka, ukazało się oświadczenie Wałęsy, który stwierdzał, iż misja generała jest szkodliwa dla Polski i proponował koalicję OKP z ZSL i SD. Stwarzało to nowe podstawy do realizacji hasła „wasz prezydent, nasz premier”, aczkolwiek wątpliwe było, że Jaruzelski ustąpi na całej linii. Zmuszony jednak został do takiej interpretacji inicjatywy „wielkiej koalicji”, w której obecność „Solidarności” nie mogła już być traktowana jako kwiatek do kożucha, jak to było zaledwie miesiąc wcześniej. Ambasador amerykański w Moskwie w depeszy do waszyngtońskiej centrali pisał, że utworzenie rządu z „solidarnościowym” premierem będzie wprawdzie dla Sowietów gorzką pigułką, ale „przełkną ją, choć będą się bardzo dławić i krztusić”. Jakkolwiek zarówno Gorbaczow, jak i pozostali przywódcy komunistyczni z Europy Środkowo-Wschodniej byli poważnie zaniepokojeni rozwojem sytuacji w Polsce, tylko dyktator Rumunii, Nicolae Ceaușescu, próbował poderwać ich do boju i rozesłał list wzywający do reakcji na rysujące się zwycięstwo kontrewolucji. Odpowiedziała mu cisza.

Nie na wiele też zdały się buńczuczne deklaracje kierownictwa PZPR, w którym wciąż zasiadali minister obrony narodowej gen. Florian Siwicki, a także desygnowany na premiera Kiszczak. Były one do tego stopnia nierealistyczne, że Rakowskiego mitygował osobiście w rozmowie telefonicznej Gorbaczow. Czynnikiem, który wpływał na polityczne decyzje – zapewne szczególnie wyraźnie Jaruzelskiego i jego najbliższych

współpracowników oraz umiarkowanej części OKP i samego Wałęsy – była podnosząca się (któryż to już raz w dziejach PRL?) fala niezadowolenie społecznego. Tym razem nie była ona spowodowana podwyżką cen zarządzoną przez władze, ale tym, że na odchodne rząd Rakowskiego postanowił „urynkować” ceny żywności, co gwałtownie przyspieszyło inflację, która w sierpniu sięgnęła 40 proc. w skali miesięcznej, przy utrzymujących się wciąż głębokich niedoborach towarów w sklepach. Nic więc dziwnego, że o ile w ostatnim tygodniu lipca odnotowano niespełna 30 strajków, to w pierwszym tygodniu sierpnia było ich już ponad 80. Było raczej pewne, iż ewentualny rząd Kiszczaka nie zdoła powstrzymać narastających odruchów społecznych. W rezultacie 14 sierpnia zrezygnował on z beznadziejnej już misji utworzenia rządu.

Wydarzenia, i tak dziejące się w niepokojąco szybkim tempie, ponownie uległy przyspieszeniu. 19 sierpnia – po rozmowie nie tylko z Wałęsą, ale także z prymasem Glempem, który z kolei spotkał się z ambasadorem sowieckim – Jaruzelski powierzył misję utworzenia rządu Tadeuszowi Mazowieckiemu, jako kandydatowi OKP, ZSL i SD. Jednocześnie ceną za jego zgodę była obietnica wejścia reprezentantów PZPR do przyszłego rządu, i to na stanowiska ministerialne, które zgodnie z nowelą konstytucyjną znajdowały się zakresie kompetencji i odpowiedzialności prezydenta: obrony narodowej (Siwickiego) i spraw wewnętrznych (Kiszczaka). W rezerwie Jaruzelski miał jeszcze konstytucyjnie gwarantowany wpływ na obsadę stanowiska ministra spraw zagranicznych. Ambasador Davis raportował do Waszyngtonu, że Geremek miał powiedzieć, iż „musimy dać komunistom szanse przetrwania”, tak więc ambasador mógł napisać do swego zwierzchnika: „uważam, iż wypełniłem zadanie”. Rzeczywiście: Polska znajdowała się na ścieżce prowadzącej ku demokracji.

24 sierpnia Mazowiecki wystąpił w Sejmie: za powierzeniem mu funkcji premiera głosowało 378 posłów, wstrzymało się od głosowania 41, zaś przeciw było tylko 4. Kierownictwo sowieckie przyjęło ten werdykt do wiadomości, ale rzecznik MSZ oświadczył, iż proces formowania rządu nie może „zaszkodzić zobowiązaniom sojuszniczym Polski”, gdyż „nie służyłoby to stabilizacji w Europie”. Być może przypadkowo, zgodnie z wcześniejszymi planami, parę dni później zjawił się w Polsce szef KGB Władimir Kriuczuk, którego nowo powołany premier przyjął na prośbę Kiszczaka. Mazowiecki miał swemu gościowi oświadczyć, iż Polska będzie państwem suwerennym, ale wobec Związku Sowieckiego „przyjaznym”. O trwających wciąż nastrojach obawy wobec Moskwy może świadczyć fakt, iż jeszcze na początku września Jan Nowak-Jeziorański, powszechnie traktowany jako jeden z najwyższych autorytetów w sprawach międzynarodowych, pisał w „Gazecie Wyborczej”, że „mamy szansę uzyskać status fiński”, tj. kraju, który *de facto* nie prowadzi własnej polityki zagranicznej, w zamian za co ma pełną swobodę kształtowania ustroju i sytuacji wewnętrznej. Mazowiecki manewrował więc ostrożnie, ale wytrwale. M.in. zdołał przekonać Jaruzelskiego, aby PZPR zrezygnował z teki ministra spraw zagranicznych, co w związku z zależnością tej partii od Moskwy było gestem nie tylko symbolicznym (rekompensatą było powołanie na ambasadora w Związku Sowieckim Stanisława Cioska, który należał do grona najbliższych współpracowników generała). Ostatecznie 12 września premier wygłosił *exposé* i przedstawił Sejmowi skład rządu. Połowa członków gabinetu związana była z „Solidarnością”. Należy zgodzić się z opinią Antoniego Dudka, że powstanie takiego rządu „nie kończyło proces destrukcji komunistycznej dyktatury, [ale] zamykało jego najważniejszy etap”.

Powstanie rządu Mazowieckiego zostało przyjęte niezwykle pozytywnie, acz – podobnie jak po wyborach czerwcowych

– nie było euforii. Wedle badań opinii publicznej 89 proc. ankietowanych uważało działalność premiera za zgodną z interesami społeczeństwa, sympatię do niego wyrażało 84 proc., a wiarę w to, że „będzie lepiej”, podzielało 82 proc. pytaných. Jednak tylko 55 proc. ankietowanych poparło ideę rządu koalicyjnego, a 26 proc. sądziło, że należy z niej wykluczyć PZPR. Było więc sporo wątpliwości i wahań, a na ich tle do akcji przystąpiły środowiska radykalne (głównie KPN), które w październiku i listopadzie organizowały pikiety przed siedzibami PZPR (w kilku miastach udało się je na krótko zająć). Domagano się likwidacji partii komunistycznej, rezygnacji Jaruzelskiego, wolnych wyborów, wyjścia wojsk sowieckich z Polski. Zniszczono – zresztą na ogół przy pomocy sprzętu dostarczanego przez władze miejskie – kilka pomników Lenina i słynny warszawski pomnik Dzierżyńskiego. Jednostki ZOMO wielokrotnie interweniowały, ale ani działania młodzieży, ani agresja zomowców nie wywoływały powszechnego zainteresowania. Jak się wydaje, nie było po prostu sytuacji rewolucyjnej.

Analizując sytuację w Polsce nie można pomijać nie tylko wielkich mocarstw, ale także tego, co działo się w innych – „bratnich”, jak wówczas mawiano – krajach. Otóż właściwie od początku 1989 r. w większości z nich zaczynała się wyraźnie zmieniać atmosfera społeczna i polityczna. Na Węgrzech trwał niemal równoległy do polskiego, choć inaczej przebiegający, proces negocjacji między partią komunistyczną a opozycją. Zakończył się on tydzień po utworzeniu rządu Mazowieckiego deklaracją o przekształceniu Węgier w państwo demokratyczne, na początku października partia komunistyczna stała się partią socjalistyczną, znowelizowano konstytucję, a 23 października, w rocznicę początku powstania narodowego z 1956 r., proklamowano powstanie Republiki Węgierskiej i zapowiedziano wybory parlamentarne na początek 1990 r. W Czecho-

słowacji dwukrotnie – w styczniu i sierpniu – dochodziło do masowych manifestacji, w czerwcu opozycyjne środowisko „Karty 77” zwróciło się do kierownictwa partii komunistycznej, aby „wreszcie pojęło, że nadszedł czas na rzeczywiste zmiany systemu”. 17 listopada rozpoczęła się – w formie wielusettyśnych manifestacji – „aksamitna rewolucja”, zakończona negocjacjami opozycji z rządem i powołaniem na początku grudnia rządu „porozumienia narodowego”. Nawet w trzymanej twardą ręką Bułgarii już w maju doszło do masowych demonstracji ludności tureckiej i jej masowego exodusu z powodu prześladowań na tle narodowościowym, na początku listopada pojawiły się organizacje opozycyjne (w tym związek zawodowy „Podkrepa” odwołujący się wprost do „Solidarności”), ustąpił Todor Żiwkow, rekordzista pod względem czasu utrzymywania się na pozycji Numer Jeden (od 1956 r.). Choć do zasadniczych zmian doszło dopiero w początkach 1990 r., to oczywiste było, w jakim kierunku będą one zmierzały. Od maja zaczęły odbywać się manifestacje w NRD, we wrześniu powstały pierwsze polityczne ugrupowania opozycyjne, a otwarcie przez Węgry granicy z Austrią zaczęło exodus na Zachód dziesiątków tysięcy Niemców. Fala manifestacji przetoczyła się przez kraj w październiku, gdy władze organizowały uroczystości czterdziestolecia utworzenia NRD, doszło do zmiany partyjnego przywódcy, a wreszcie 9 listopada – w atmosferze radosnego chaosu – otwarte zostały przejścia graniczne, zaś berlińczycy wspólnym wysiłkiem rozbili znaczną część muru dzielącego miasto. Wszystko to wywoływało rosnące napięcie w najbardziej brutalnie rządzonej Rumunii, gdzie wreszcie 19 grudnia wybuchły zamieszki, które przekształciły się w krwawe starcia, w których wyniku obalono Ceaușescu. Wraz z żoną został on rozstrzelany 25 grudnia, a egzekucję pokazywano wielokrotnie w telewizji. Niezależnie od tego, że tempo wchodzenia w proces zmian było różne,

odmienne były też szczegółowe rozwiązania, wszędzie – nawet tam, gdzie komuniści zachowali jeszcze duże wpływy w rządach i w aparacie władzy – nastąpił mniej lub bardziej zaawansowany proces wyzwolenia się spod sowieckiej dominacji. W każdym razie dziedzictwo Jałty, czyli uzależnienie wschodniej części Europy od Moskwy, zostało przezwyciężone.

Przyglądając się działaniom rządu Mazowieckiego można chwilami odnieść wrażenie, iż z tych wszystkich – mniej lub bardziej dramatycznych – wydarzeń, który działy się wokół Polski (bo przecież trzeba dodać wyraźne wyrazy ożywienia narodowego w zachodnich republikach sowieckich – na Litwie, Białorusi i Ukrainie), bezpośredni wpływ na polską politykę wywierało właściwie tylko to, co działo się w NRD, a przede wszystkim obalenie Muru Berlińskiego i ogłoszenie przez kanclerza RFN Helmuta Kohla dziesięciopunktowego planu zjednoczenia Niemiec. Było to poniekąd zrozumiałe, gdyż i rząd, i świat polityczny zajęte były ratowaniem gospodarki, która wpadła już w spiralę galopującej inflacji (kilkaset procent w skali rocznej), oraz przygotowywaniem podstawowych zmian ustrojowych.

Jeśli weźmie się pod uwagę, że właściwą bazą społeczną rządu była „Solidarność” – związek zawodowy, w którym nigdy na serio nie zastanawiano się nad likwidacją państwowej własności w gospodarce – uderzające było, iż Mazowiecki, zdecydował się na działania radykalnie wprowadzające mechanizmy rynkowe. Pomysłodawcą i wykonawcą tego projektu („terapii szokowej”) stał się Leszek Balcerowicz, wspierany przez polskich i amerykańskich ekonomistów. 27 grudnia Sejm przyjął pakiet 11 ustaw, które wchodziły w życie 1 stycznia 1990 r. Był to drugi po reformach Rakowskiego sprzed roku, tym razem decydujący krok do gospodarki wolnorynkowej, opartej na własności prywatnej – choć proces prywatyzacji miał przebiegać

jeszcze wiele, wiele lat. Dwa dni po „pakiecie Balcerowicza” Sejm znowelizował konstytucję, usuwając z nazwy państwa przymiotnik „ludowa”, przywracając koronę na głowie orła, skreślając zapisy o trwałym sojuszu ze Związkiem Sowieckim i kierowniczej roli PZPR oraz o „gospodarce planowej”. W nowej preambule Polskę określono jako „demokratyczne państwo prawa, urzeczywistniające zasady sprawiedliwości społecznej”. Kropkę nad „i”, choć – prawdę mówiąc – była to formalność, postawiła sama partia komunistyczna, która na swym XI zjeździe (21–29 stycznia 1990) się rozwiązała, a raczej przekształciła – na wzór węgierski – w Socjaldemokrację RP (SdRP).

Za fasadą „terapii szokowej” i zmian w konstytucji zmiany strukturalne i personalne następowały ewolucyjnie i stopniowo, zgodnie z tytułem cytowanego już artykułu Mazowieckiego *Spiesz się powoli*. Kiszczak dokonywał maskujących reorganizacji w MSW, a naprawdę funkcjonariusze zajmowali się niszczeniem i wynoszeniem akt, formalnie istniał wciąż urząd cenzorski i ociężała struktura Komitetu ds. Radia i TV (choć już bez Urbana), oficerowie jeździli na szkolenia do Moskwy. Ani w kraju, ani za granicą premier nie wspominał o obecności w Polsce wojsk sowieckich, nie podawał w wątpliwość sensu istnienia Układu Warszawskiego, a także Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej – ostańcach po systemie, który już przeszedł do historii. Mazowiecki i jego bezpośrednie zaplecze polityczne obawiały się, że zbyt szybkie i zbyt radykalne przekształcenia mogą sprowokować opór ludzi odchodzącego już reżimu, którzy – jak uważali – wciąż mieli do dyspozycji znaczne siły. Obawiali się też, że nazbyt zdecydowane działania mogą zachęcić do gwałtownych rozliczeń, samosądów czy chaosu, a więc podważyć świeżo kładzione fundamenty demokracji. Nie mieli zwłaszcza zaufania do różnych formacji prawicowych, które podejrzewali o zapędy rewolucyjne, a także do tej – znacznie-

szej – części Kościoła, która wspierała środowiska prawicowe i domagała się zwiększenia roli Kościoła w życiu publicznym, a nawet politycznym. Żywiono wiele obaw co do stosunków polsko-niemieckich, co usztywniało polską dyplomację, w której zresztą dominowali wciąż ludzie PZPR, często-gęsto po prostu ze służb specjalnych. Wszystko to budziło coraz większe zastrzeżenia w samym obozie „solidarnościowym”, a ważnym tego elementem był brak pomysłu na znalezienie należnego miejsca dla Wałęsy. Oczywiście miejsce takie było – tyle że zajęte przez Jaruzelskiego, który nie myślał ustąpić, a którego kadencja kończyła się w roku 1995! W obozie „Solidarności”, który zawsze był pluralistyczny i wewnętrznie podzielony, zaczęły się ujawniać coraz głębsze pęknięcia. Ale prawdziwe ruchy tektoniczne pojawiły się po kilku miesiącach i z tego punktu widzenia *Annus mirabilis* 1989 – w którym całkowicie zmienił się pejzaż polityczny ogromnej połaci Europy i zakończyła trwająca od ponad czterdziestu lat „zimna wojna” – dobiegł spokojnie końca.